

ŁUNY NAD HUCZWĄ I BUGIEM

Walki oddziałów AK i BCh w Obwodzie Hrubieszowskim w latach 1939-1944

Wacław Jaroszyński, Bolesław Kłembukowski, Eugeniusz Tokarczuk
WYBRANE RELACJE Z KSIĄŻKI DOTYCZĄCE GRABOWCA I OKOLIC

Brykalska Michalina „Morfina” (AK) Farmaceutka w AK
Na Lubelszczyźnie

Urodziłam się 12 marca 1899 r. w Lasochowie na Kielecczyźnie. Ojciec mój był ierownikiem tutejszego tartaku. Z pięciorga rodzeństwa żyje nas czworo.

W Brzezinach ukończyłam szkołę powszechną. W Łodzi uczęszczałam 6 lat do gimnazjum. W 1919 r. rozpoczęłam praktykę w aptece w Brzezinach i tu pracowałam cztery i pół roku. Następnie udałam się na kurs dla farmaceutów i równocześnie przygotowywałam się do matury. Zdałam maturę w Warszawie. Przez trzy dni pracowałam w Brzezinach, dni zaś cztery uczyłam się w Warszawie, dojeżdżając pociągiem. Po zdaniu matury pracowałam w Warszawie w aptece, przy ul. Wolskiej 10. której właścicielem był Kułakowski-Ossowski. W Warszawie pracowałam przez pięć i pół roku i w tym czasie ukończyłam kursy farmaceutyczne, pomocnikowskie. Po śmierci ojca w 1927 r. przenieśliśmy się do Łodzi, aby być bliżej swojej matki. Pracowałam w aptece Ubezpieczalni Społecznej (Kasy Chorych) przez okres czterech i pół lat. Tu poznałam przyszłego męża Adama Brykalskiego, który był kierownikiem apteki prywatnej w Łodzi. W dniu 27 grudnia 1931 r. pobraliśmy się. Ślub odbył się w Brzezinach. Niebawem mąż kupił aptekę w Grabowcu w powiecie Hrubieszów. Od 1 stycznia 1932 r. byliśmy razem w Grabowcu. Prowadziliśmy razem aptekę do wojny polsko-niemieckiej 1939 r. W dniu 31 sierpnia 1939 r. mąż mój został powołany do wojska jako oficer rezerwy w stopniu podporucznika i był w szpitalu wojskowym w Łucku na Wołyniu. Ja pracowałam w mojej aptece w Grabowcu. W czasie kampanii wrześniowej pomagałam polskim żołnierzom. Pewnej nocy przybył do Grabowca ze swoją żoną nawet generał Wojska Polskiego (nazwiska nie zapamiętałam). Zamierzali u mnie nocować, ale udawali się w kierunku granicy rumuńskiej.

Po wkroczeniu wojsk radzieckich do Grabowca władzę przejęli miejscowi Żydzi. Komisarze żydowscy nie dopuszczali do mnie żołnierzy sowieckich, wiedząc, że u mnie w domu przechowuję żony polskich oficerów. Przez tydzień czy dwa nie było w Grabowcu żadnej władzy. Później wkroczyli Niemcy i zaraz pozwolili bezkarnie buszować miejscowym faszystom ukraińskim.

Pamiętam, że w tych niebezpiecznych dniach przybył do mnie kapitan Chmura, aby zobaczyć się z żoną, która u mnie mieszkała. Przywiózł walizkę-skrzynkę swojego dowódcy z prośbą o przechowanie. Po trzech dniach otworzyłam tę skrzynkę w obecności mieszkańców Grabowca Antoniego Surmy, pani Chmury i jej dwóch córek. Na wierzchu leżał galowy polski mundur wojskowy i rękawiczki. Znalazłam też inne przedmioty osobiste, papierosy oraz książeczkę czekową banku niemieckiego. Zabrałam tę książeczkę, papierosy i inne przedmioty osobiste i zaraz spaliłam, bo przeczuwałam, że były to dokumenty jakiegoś szpiega hitlerowskiego, którego nasze wojska schwytały za linią frontu. Rzeczywiście później przyjechał do mnie wójt gminy w Grabowcu, Wojnarowski, nacjonalista Ukrainiec i chciał zabrać tę skrzynkę z rzeczami. Powiedziałam, że wszystko zabrała pani Chmura i nie wiem, co się z nimi stało. Obawiałam się tylko wykrycia sprawy, ponieważ Antoni Surma zabrał mundur z tej walizki i przerobił go sobie na ubranie, lecz na szczęście już więcej do tej sprawy nie wrącano.

Po kampanii wrześniowej, w końcu września 1939 r. mąż mój wrócił do domu. W październiku 1939 r. mieszkańiec osady Grabowiec Jan Pawelec przyprowadził do naszego domu

dwóch mężczyzn i przedstawił ich jako wysłanników przebywających na Węgrzech Polaków, wyższych wojskowych. Pawelec był znany w Grabowcu, pracował społecznie i z nim ci wysłannicy nawiązali pierwszy kontakt. Mąż mój Adam i brat jego Władysław, który ukończył wydział chemii na Uniwersytecie Poznańskim, przynależeli już wtedy do konspiracyjnej organizacji Służba Zwycięstwu Polski na terenie Grabowca. Przyjęto system trójkowy pracy, posługując się pseudonimem „Czarny Lis”. Organizatorem trójek był Feliks Buczkowski. Zadaniem trójek było gromadzenie broni i amunicji i oddawanie na przechowanie sekretarzowi gminy Kamibrowskiemu. W ten sposób, już w październiku 1939 r. powstała pierwsza organizacja Służba Zwycięstwu Polski na terenie Grabowca. W tym samym czasie przechowywaliśmy w domu ogółem 24 oficerów. Mąż mój ciągle powtarzał, „musimy ludzi ratować, to nasz obywatelski obowiązek”. Jednocześnie rozpoczynała się w Grabowcu działalność konspiracyjna. Udzielali się w niej:

Kamforowski Adam, ówczesny sekretarz gminy w Grabowcu Brykalscy Adam i brat jego Władysław

Buczkowski Feliks, główny kierownik Kas Banku Kredytów Długoterminowych w Warszawie, por. Wojska Polskiego, główny organizator trójek Orłowski Stanisław i Józef Czarnecki, księża Matwiejczuk Bogusław, plutonowy Skubiszewski Kazimierz — legionista

Kamforowski Jerzy, Kamforowski Adam, Kamforowska Irena (dzieci sekretarza)

Krzyszczuk Adolf, rolnik Boniecki Edward, rolnik Nowicki Wincenty, rolnik Poterucha Jan, b. wójt gminy.

Starosta niemiecki z Hrubieszowa wyznaczył męża na prezesa Rady Głównej Opiekuńczej (RGO) w Grabowcu, co odwracało uwagę hitlerowców od działalności grupy konspiracyjnej. Działalność trwała do wtorku po świętach Wielkanocy w 1941 r. W tym dniu nastąpiło pierwsze aresztowanie Feliksa Boczkowskiego, którego Niemcy wywieźli do Oświęcimia. Boczkowski napisał kartkę do Jana Pawelca i podał, jakie nazwiska wydał hitlerowcom w śledztwie. Kartka przyszła w dniu 1 czerwca 1941 r., a drugie aresztowania w Grabowcu hitlerowcy przeprowadzili 5 czerwca 1941 r. Jan Pawelec zdążył wszystkich uprzedzić i sam usunął się z tego terenu. Mąż mój i inni członkowie konspiracji zbagatelizowali to ostrzeżenie i zostali aresztowani. Początkowo mąż siedział w gestapo w Hrubieszowie. Ja zaraz podjęłam staranie o zwolnienie, ale bezskutecznie. Następnie wywieźli aresztowanych na Zamek w Lublinie. Stąd już w lipcu 1941 r. wywieźli do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Nie ustawałam w staraniach o zwolnienie, jednak bezskutecznie. Już 4 stycznia 1942 r. otrzymałam depezę z Oświęcimia, że mąż zmarł. Akt zgonu przysłali oprawcy dopiero później, podając wymyśloną perfidną przyczynę zgonu tj. wskutek choroby. Nie znam szczegółów cierpień i śmierci męża w tym strasznym obozie zagłady.

Wcześniej, bo już w listopadzie 1941 r. przyszła podobna wiadomość O śmierci brata mojego męża Władysława, w której podano, że zmarł na zapalenie płuc. W tym samym czasie zginął w Oświęcimiu dr Franciszek Ciszewski z Grabowca, który chociaż nie był w konspiracji, jednak znalazł się na liście gestapo ludzi przeznaczonych do aresztowania.

Po śmierci męża wezwał mnie do siebie wójt Gminy w Grabowcu Nyskoszapko. Byli u niego gestapowcy z wilczurami. Zaczęli mnie wypytwać, skąd mam wiadomość, że mój mąż nie żyje. Odpowiedziałam, że dostałam depezę z Oświęcimia... Szczęśliwie dali mi po tym spokój. Wysyłałam po 15 paczek żywnościowych miesięcznie do oficerów w oflagach w Niemczech, mimo tych bolesnych i trudnych dni, jakie przeżywałam. Zdecydowałam się przystąpić do konspiracji na tym terenie. W listopadzie 1942 r. złożyłam przysięgę w Świdnikach koło Grabowca przed zakonnikiem o pseudonimie „Robak”. Przyjęłam pseudonim „Morfina”. Następują trudne chwile dla mieszkańców Grabowca i okolicy. Faszysti wysiedlają Polaków i zasiedlają Ukraińców. Ja wraz z siostrą męża Janiną otrzymałam zgodę gestapo na pozostanie w aptece. Nacjonaliści ukraińscy podsycani przez hitlerowców dopuszczają się strasznych prześladowań miejscowej ludności polskiej. Pod pretekstem, że u mnie kwaterował Niemiec,

a oni mnie chcieli wsadzić Ukraińca Poleszczuka, wydali na mnie wyrok śmierci. Wcześniej rozmawiałam na ten temat w dowództwie AK w Świdnikach, które poleciło mi uciekać z Grabowca i zlikwidować aptekę. Dowódcą tej grupy był, jak pamiętam, „Orwid”. Upozorowano napad na aptekę i zabrano większą część lekarstw, które rozlokowano w placówkach AK w Siedlisku i w Świdnikach. Teraz już byłam bardzo zagrożona ze strony Niemców i Ukraińców. Pewnego dnia wpadli do mojego domu i pod moją nieobecność zabrali Ukrainkę, wyprowadzili na miejscowy cmentarz i, męcząc ją, wymusili zeznania o mnie, o moich kontaktach z polskim podziemiem. Po strasznych torturach zabili ją ci oprawcy. Jak później stwierdzono, miała w nogach kilka ran od kul. Złożyli ją do trumny i przywieźli do cerkwi w Grabowcu. Groziło mi niebezpieczeństwo, ale poszłam na jej pogrzeb, uważając, że jej śmierć nic wspólnego ze mną nie miała. Córka zmarłej twierdziła, że jej matka zginęła, gdyż pracowała u „Lachów”. Po pogrzebie sąsiadka dała mi znać, że po obiedzie zaaresztują nas nacjonaści ukraińscy. Również łączniczka z naszej organizacji konspiracyjnej ostrzegła, żeby być ostrożną, bo przyjechali do Grabowca faszysty.

Już wcześniej wywiozłam swoje rzeczy do mojego brata ciotecznego, inż. Stefana Niwińskiego do Bończy w powiecie Krasnystaw, który był tu leśniczym w lasach hrabiego Potockiego. W Bończy zetknęłam się z oddziałem partyzantki radzieckiej pod dowództwem „Griszy”. Oddział ten ubezpieczał nas, tj. 3 pary sań przy wyjeździe powrotnym do Grabowca. Po powrocie z Bończy udałam się wraz z siostrą męża Janiną do naszej placówki AK w Siedlisku. Na placówce przyjął mnie komendant por. Paweł Runkiewicz „Czarny”, jego zastępcą Bogusław Matwiejczuk „Brzęczek” oraz Stanisław Trojanowski. Otrzymałam kwaterę w pałacu dziedzica majątku Siedlisko Józefa Tuszowskiego. Zamieszkałam tam z Janeczką. Obok mnie mieszkaly Maria Żukowska, którą dr Cygańczuk przywiózł z Hrubieszowa, której faszysty spalili dom i grozili aresztowaniem. Były też w pałacu inne osoby z Warszawy i Grabowca oraz stała grupa partyzantów (ok. 15 ludzi), którzy stanowili ochronę placówki. Pałac w Siedlisku był całą warownią. Okna i drzwi zostały obmurowane. W oknach małe otwory zabezpieczono siatką. Wejścia do drzwi były obmurowane. W murze znajdowały się otwory strzelnicze. W pomieszczeniach na parterze mieściły się prycze i piętrowe łóżka dla żołnierzy partyzantów. Partyzanci dzień i noc stali na warcie przy drzwiach i na dachu pałacu. Posiłki przygotowywano na miejscu dla wszystkich osób zamieszkałych. Ciotka dziedzica Tuszowskiego energicznie i sprawnie prowadziła całą organizację życia w pałacu.

Po przybyciu do Siedliska zaraz dostałam rozkaz szykowania lekarstw i opatrunków dla partyzantów przygotowujących się do walk z okupantem. Szyliśmy torby sanitarne niezbędne dla sanitariuszek na pierwszą linię walki. Szkoliłam sanitariuszki wspólnie z doktorem medycyny Witczykiem „Zygmuntem” i Marysią „Zdziebełko”, z Halszką Horwat, Niną i Janiną. Może niezbyt dokładnie, ale pragnę wspomnieć o naszym dowództwie i naszej organizacji konspiracyjnej AK na tym terenie. Komendantem tam był „Orwid”. Do wyzwolenia komendantem obwodu hrubieszowskiego AK był Marian Gołebiewski „Korab”.

Obwód składał się z rejonów. Na obszarze 3 rejonu istniały następujące kompanie:

- grabowiecka (dowódca: por. Paweł Runkiewicz „Czarny”)
- ornatowicka (dowódca: por. Kazimierz Wróblewski „Maryśka”)
- białowodzka (dowódca: por. Eugeniusz Tokarczuk „Klon”) Do mojej kompanii grabowieckiej wchodziły plutony:
- Skomorochy (dowódca: Czesław Hajduk „Ślepy”, po nim Bogusław Matwiejczuk „Brzęczek”)
- Góra-Grabowiec (dowódca: Piotr Kozłowski „Szybki”)
- Grabowiec, do którego wchodziły (poza Grabowcem) wioski Szczelatyn, Żurawłów i Wolica Uchańska
- Szystowce (dowódca: Wacław Gozdek „Grom”)

W tym czasie wyjeżdżałam pociągiem do Warszawy do lekarza, którego prosiłam, żeby kupił

mi bilety na pociąg, bo była duża kolejka przy kasie. Sprawdzając moje dokumenty na Dworcu Głównym w Warszawie żandarm powiedział: „Grabowiec. Dort sind alle Banditen...” (tzn. Grabowiec. Tam są wszyscy bandyci...) Szczęśliwie dał mi spokój i wróciłam do placówki po spełnieniu zadania.

Drugi raz wybrałam się wozem konnym do Lublina (ok. 85 km). Przywiozłam 17 skrzyń materiałów opatrunkowych i lekarstw. Dostawałam przydział po każdym upozorowanym napadzie na aptekę w Grabowcu. Praktycznie cztery razy więcej niż w normalnych warunkach. Skrzynie z opatrunkami przywieźliśmy do Placówki AK w Siedliku. Pamiętam w Łopienniku spotkał mnie dowódca placówki „Grab”, mój znajomy i powiada: „Co ty tu robisz? Tyle skrzyń wiesz

przez te niebezpieczne okolice”. Otworzyła nam się skrzynia z opatrunkami. Zaraz dałam opatrunki z tej rezerwowej skrzyni sanitariuszce z oddziału „Graba”. Przydały się te opatrunki na bój partyzantów z hitlerowcami w lasach janowskich. '

Po drodze zatrzymaliśmy się w Izbicy u naczelnika poczty Kazimierza Szczeklika. Dostałam wiadomość, że teren jest otoczony. Niemcy przeprowadzają obławę na partyzantów w pobliskich lasach. Niemcy zatrzymali mnie, sprawdzili, co wieziemy, i puścili, ale wiedzieliśmy, że przed nami jeszcze druga kontrola, z drugiej strony pierścienia obławy. Razem z kolegą z AK Kazimierzem Paulem „Nadzieją” mieliśmy niezłego stracha. On powoził końmi. Znowu Niemiec przejrzał nasze skrzynie i pozwolił jechać dalej. Dojechaliśmy do Siedliska, gdzie odpowiednio złożono przywiezione opatrunki i lekarstwa. Nacjonaści ukraińscy nie wiedzieli, gdzie jestem. Ubierałam się na chłopkę, żeby mnie nie poznali. Pamiętam takie przeżycie z dnia 3 kwietnia 1944 r., które kosztowało mnie dużo zdrowia i było bardzo niebezpieczne. W tym dniu przyjechał do Siedliska Niemiec, landrat z Hrubieszowa, Bitner wraz ze swoją obstawą, złożoną z żandarmów niemieckich. Dostałam rozkaz, aby sanitariuszki wyciągnęły kule z karabinów Niemców, którzy w tym czasie zabawiali się przy dobrze zakrapianym wódką posiłku. Akurat stałam w drzwiach, gdy jednej z sanitariuszek przy wyciąganiu kuli wypadł z ręki cały zamek karabinu i z hukiem spadł na podłogę. Chociaż w tym gwarze Niemcy zorientowali się, o co chodzi, ze strachu gwałtownie nie reagowali.

W tym czasie koledzy partyzanci usunęli się poza Siedliska i nie mieli rozkazu podejmować walki. Później dopiero zlikwidowali tę grupę landrata Bitnera nasi partyzanci w Szystowicach, gdy sam Bitner wjeżdżając na podwórze majątku, zobaczył partyzanta kucharza z orzełkiem na furażerze, wyjął pistolet i zastrzelił go. Dostali oni za swoje i więcej już inspekcji nie robili.

Opiekowałam się rannymi partyzantami polskimi i radzieckimi. Partyzanci radzieccy w dużych grupach przechodzili przez linię frontu. Przez rzekę Bug przepравиło się silne zgrupowanie partyzantki radzieckiej im. Aleksandra Newskiego pod dowództwem pułkownika A.W. Karasiowa, dzisiejszego Bohatera Związku Radzieckiego. Oddział ten zaraz po przekroczeniu Bugu w początkach kwietnia 1944 r. został zaatakowany przez Niemców w lesie koło Majdanu Tuczępskiego. Po walce i silnych bombardowaniach zgrupowanie wycofało się do lasu siedliskiego koło Czechówki. Rannych partyzantów radzieckich przywieziono do placówki AK w Siedliku. Partyzanci radzieccy na wzgórzu przed tym lasem rozwinęli tyralierę. O tym powiadomili dowódcę plutonu AK ze Skomoroch, kolegę Bogusława Matwiejczuka „Brzęczek” jego żołnierze partyzanci, którzy wcześniej dostrzegli ruchy tych partyzantów. „Brzęczek” zebrał swoich ludzi z plutonu i poszedł z nimi w kierunku tego oddziału od strony młyna tuczępskiego. Nikt nie wiedział kto jest w lesie. Nie bardzo nasi wiedzieli też, co dalej robić. „Brzęczek” wysłał ludzi na zwiad, dowódców drużyn Grechutę i Bojczuka. Oni zorientowali się, że w lesie są partyzanci radzieccy. Partyzanci polscy i radzieccy w tyralierach stali naprzeciwko siebie. Do strzelaniny nie doszło. Dowódca plutonu „Brzęczek” wysłał gońca do Siedliska, do dowódcy kompanii „Czarnego” z meldunkiem, że jego pluton ma kontakt z silnym oddziałem partyzantki radzieckiej. „Czarny” przybył na miejsce z grupą kilkunastu par-

tyzantów z Siedliska, Zaczęliśmy powiewać do kolegów radzieckich białą chorągiewką. Partyzanci radzieccy głośno rozkazali jednemu z nas przyjść do nich. Poszedł kolega, który znał język rosyjski. Po chwili całą ławą zeszli do naszych, uznając, że są bezpieczni. Następnie dowódcy udali się razem z naszymi do dowódcy batalionu „Orwida” do Czechówki. Razem z nimi szedł miejscowy gajowy i u niego zaczęła się libacja.

Pik. Karasiow przekazał polskim partyzantom kilka karabinów maszynowych typu Diektiarowa oraz większa ilość amunicji do nich. Podali dowódcy batalionu „Orwidowi”, że mają rannych i chcą ich pozostawić w naszych konspiracyjnych ośrodkach leczniczych dla pełnego wyleczenia. Nasze dowództwo zgodziło się i tej nocy przewieziono 6 rannych partyzantów na Siedlisko. Jeden z nich był ciężko ranny w brzuch. Sanitariuszka Halszka Horwat „Kazik” na jego prośbę myła go i opatrywała rany całą noc. Nad ranem na jej rękach zmarł. Został pochowany w parku w Siedlisku. Inny miał obandażowaną głowę i po zrobieniu opatrunku tej nocy wrócił z konwojentami radzieckimi do oddziału. Pozostałych imiona jak pamiętam były: Artiom, Iwan, „Wania” Alosza i Misza. Artiom miał postrzelone nogi i jądra, na które szyłam specjalne woreczki, bo były spuchnięte. Byłam starsza od innych sanitariuszek, one się krępowwały robieniem tych opatrunków. Alosza był po ciężkim zapaleniu płuc i nie miał siły iść dalej za Karasiowem. Kazali mi go dobrze odżywiać, więc chodziłam do służby dworskiej po mleko dla Aloszy. Iwan miał zdruzgotaną lewą nogę, powyżej kolana. Misza był bardzo osłabiony. Pułkownik A.W. Karasiow tej samej nocy wyruszył ze swoim zgrupowaniem w dalszą drogę, na zachód w lasy janowskie. Zatrzymał się we wsi Stanisławka, w powiecie zamojskim. Stoczył bój z hitlerowcami w Horyszowie Polskim i poszedł dalej aż do Słowacji i na Węgry. Dwa razy amputowano nogę „Wani”. Pierwsza operacja odbywała się w jakiejś stodole na drzwiach. Byłam na początku tej operacji. Cały czas asystowała dr Cygańczukowi sanitariuszka Marysia Żukowska i Zdzicha z Hrubieszowa. Drugą operację robił dr Witczyk. „Wania” leżał z naszymi partyzantami w pałacu w majątku Jana Gryna we Franciszkowie ok. 3 km od Siedliska. Z Siedliska woziłam rannym lekarstwa i opatrunki wraz z partyzantem Ryszardem Torem „Gigantem”. Pomagałam leczyć rannych lotników radzieckich, którzy po zeskoczeniu z palącego się samolotu, strąconego przez Niemców, wylądowali na spadochronach poparzeni. Pozostali w Kompanii Szkolnej Podchorążych w Białowodach, aż do wyzwolenia przez Armię Radziecką.

Podczas pacyfikacji w Świdnikach byłam w lesie i dostałam rozkaz przewiezienia opatrunków z głównego magazynu (który tam się znajdował) oraz części leków. Dostarczyłam te niezbędne rzeczy do lasu. Miało to miejsce w dniu 12 czerwca 1944 r. Pamiętam miałam starcie w lesie, gdzie byliśmy otoczeni, a dowódca „Stok” na mnie z gębą, czemu nie ratujemy ludzi z plutonu „Żbika”, który z Krzaków poszedł do pomocy kolegom ze Świdnik i został zdziesiątkowany przez niemiecki oddział pacyfikacyjny, uzbrojony w ciężką broń maszynową i samochody pancerne. Dowódca tego plutonu „Żbik” Sarzyński był ranny w ramię i robiłam mu tam opatrunek.

W Filipinach leżał w chacie wiejskiej Jerzy Kamforowski „Wąż”. Miał przestrelone płuca i draśnięte serce. Kula wyszła. Z Kamforowskim leżał w tej chacie Ireneusz Szymczak „Odmeł” z plutonu „Żbika”, również ciężko ranny, już po raz drugi w nogi podczas w/w walk w Świdnikach. Śmiałam się, bo Irek miał żal, że Jurkowi dają tlen a jemu nie. Żartował. Tak powiedział, on potrzebuje tlenu, a pan nie. Było trochę śmiechu.

Podczas dużej pacyfikacji przeprowadzonej w Grabowcu i okolicznych lasach, przez niemiecką dywizję pancerną w czerwcu 1944 r. wszyscy ranni partyzanci polscy i radzieccy leżeli w Filipinie u ob. Wiśniewskiej.

Później 4 rannych polskich i radzieckich wywieziono do Franciszkowa a następnie do wsi Krzaki. Rannymi opiekowała się sanitariuszka Żukowska.

Po pacyfikacji wszystko wróciło do dawnej konspiracji i walk. Wyzwolenie Grabowca nastąpiło w dniu 25 lipca 1944 r. przez Armię Radziecką.

Do 1952 r. prowadziłam aptekę w Grabowcu. Od 1952 r. mieszkam w Warszawie, a w domu rencistów t.zw. Domu Matysiaków od 1971 r. Zostałam odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz innymi odznaczeniami bojowymi.

Michalina Brykalska